

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

27

Apetytu nie mógł jej odebrać nawet silny zapach kwaszonej kapusty, której nie znośła.

— Znowu kapusta — pomyślała z rezygnacją. — Ano trudno, zje się i to.

Kupiła bilet i cierpliwie czekała swej kolei, bo wszystkie miejsca przy stołach były zajęte. Wraz z nią czekało jeszcze kilka innych osób, prawdopodobnie równie głodnych i równie przeziębionych. Młoda panienka z twarzą ładną, ale smutną i anemiczną, wysoki starzec o suchym, pięknym jastrzębim profilu, zabezpieczony od kilkunastostopniowego mrozu zrudziałą peleryną, młody mężczyzna w paletku, usiłującym bez powodzenia udawać zimowe, żołnierz wsparty na lasce, mizerna kobieta ze sfery robotniczej z dzieckiem na ręku.

Jakaś zamaszysta jejmość w niemodnym kapeluszu z wielkim kwiatem i staroświeckiej czarnej mantyli z hałasem odsunęła krzesło i wstała od stołu.

— A to ja tu przyszła, żeby porządnie zjeść niby, że to w „obywatelskiej” kuchni sami obywatele jadają. A tu, za przeproszeniem Boga i ludzi, takie żarcie, żeby się świnia nie chwyciła!...

Miejsce po niezadowolonej z „obywatelskiego” jedzenia jejmości zajęła zaraz panna Ożarska.

Zwróciła się do usługującej dziewczyny i podając jej swój bilet rzekła:

— Proszę pani, bo mnie się spieszy...

Ale tamta nie zwróciła na nią uwagi, bo właśnie w tej chwili dowodziła uparcie sąsiadowi panny Ożarskiej, że nie może mu przynieść kromki chleba, dopóki nie otrzyma od niego odcinka karty chlebowej.

— Cóż ja zrobię, jeżeli zapomniałem dziś wziąć karty ze sobą? — rozłożył bezradnie ręce mężczyzna.

Usługująca wzruszyła ramionami.

— To co ja temu winna? Ja nie mogę dać chleba bez karty.

— Przyniosę jutro.

— Aha! właśnieby każdy tak powiedział!

— No, to już naprawdę nie wiem, jak ja zjem tę waszą zupę, jeżeli nie będę miał do niej przynajmniej kawałka chleba.

— Ja nie poradzę nic.

Panna Julia słyszała tę rozmowę, widziała zakłopotaną minę sąsiada i nagle żywo sięgnęła po swoją kartę.

— Pozwoli pan — odezwała się z pewną nieśmiałością, która ją cechowała zawsze w stosunku do mężczyzn — że panu pożyczę odcinek z mojej karty.

— Ah, byłbym niesłychanie wdzięczny, bo ta panienka jest nieubłagana.

Za chwilę przed obojgiem stały talerze napełnione brudną ciecżą, w której pływały dość skąpo ziarna kaszy, obok talerzy leżały dwie cienkie kromki ciemnego, „wojennego” chleba.

— Znowu zupa z brudnej ścierki — westchnął jakiś nowy stołownik, zajmując opróżnione krzesło.

Ale panna Julia i jej sąsiad zabrali się do jedzenia z apetytem. Zupa wprawdzie pozostawiała dużo do życzenia pod względem smaku i nie zdradzała niczym absolutnie obecności jakiegokolwiek tłuszczy, była jednak gorąca i miała trochę kaszy w sobie. Zawartość talerzy i kromki chleba zniknęły szybko.

— Wybawiła mnie pani z kłopotu — przemówił do panny Ożarskiej sąsiad — bo przy takiej zupie bez kawałka chleba to naprawdę trudno.

Głos jego miał ciepły, miły dźwięk. Był to mężczyzna mniej więcej trzydziestokilkuletni, szczupły, wysoki, z delikatną żółtawą cerą, łagodnymi niebieskimi oczyma i bardzo ładnie pod ciemnym wąsem wykrojonymi bladoróżowymi ustami. W wyrazie twarzy jego, w ubraniu trochę zaniedbanym, w sposobie zaczesywania bujnych, ciemnych włosów było coś, co naprowadzało na myśl o artyście.

Panna Ożarska rzuciła na niego spojrzenie z ukosa i zarumienila się jak podłotek.

— Tak, rzeczywiście, teraz to takie kłopoty z temi kartami — bąknęła.

— Człowiek składa się obecnie z duszy, ciała i przeróżnych kart — ciągnął mężczyzna z żartobliwym uśmiechem — a jak to źle, jeżeli się jest przytem zapominalskim. Wczoraj naprzykład wystąpiłem w „cukrowym ogonku” i jak się już ostatecznie docisnąłem do sklepu, okazało się, że zapomniałem kartę na cukier. No i naturalnie musiałem odejść z kwitkiem. Dzisiaj trzeba będzie stać znowu na takim zimnie. I to kto wie jeszcze, czy dostanę.

Zakaszła sucho.

— A... a czy pan nie ma nikogo, jakiejś może kobiety, któraby panu to załatwiła? — zapytała panna Ożarska, dziwiąc się sama sobie, skąd się jej na tyle śmiałości zebrało.

— Niestety nie mam. Jestem zupełnie sam.

Biedak — pomyślała Julia i serce jej żywiejabiło współczuciem. Zapraśniła dopomódz temu człowiekowi, w którym intuicyjnie odgadywała naturę nieporadną, do ciężkich warunków „wojennego” życia „poza frontem” nieprzygotowaną.

Wahała się jednak przez chwilę, walcząc ze swoją wrodzoną lękliwością.

— Proszę pana — zdobyła się nareszcie na odwagę — jeżeli pan chce, to jabym panu mogła kupić tego cukru. Mam znajomy sklep, a że przy tem będę i dla siebie dzisiaj kupowała...

Była to nieprawda, bo cukier kupiła już sobie kilka dni temu.

Oczy mężczyzny rozbliły.

— Rzeczywiście? Pani byłaby tak dobrą?

— Ależ to drobnostka...

— Och! Dla mnie to wcale nie drobnostka! Dziękuję, bardzo dziękuję... Pani pozwoli, że się przedstawię... Jestem Milewicz.

— Ożarska — przedstawiła się krótko Julia, a kiedy sucha, ciepła ręka mężczyzny uściśnęła mocno jej dłoń, różowy obłok rumieńca powłóki zwiędła twarz podstarzałej panny.

— Więc jeśli pani tak łaskawa, to ja zaraz... — sięgnął do kieszeni po portfel i przez chwilę pilnie przeglądał jego przegródki.

— Masz tobie! Zapomniałem w domu karty cukrowej! — zawołał z komiczną rozpaczą.

Julia o mało co nie roześmiała się głośno, ale zaraz zatrwożyła się.

— Czy pan tylko aby karty nie zgubił? Bo to byłby straszny kłopot.

— Ah! nie... nie. Mam ją napewno w domu.

— No, to niechże pan nie zapomni jutro przynieść. Tylko już trzeba sobie to dobrze zapisać w pamięci — upominała Julia, ośmielając się coraz więcej.

Ten wysoki mężczyzna z miłą, przystojną twarzą, zaczynał na niej robić wrażenie starego dziecka, które gwałtownie potrzebuje opieki.

— Będę pamiętał, ale co za szkoda... Już trzeci dzień piję gorzką herbatę — westchnął Milewicz.

— Ależ on się powinien dobrze odżywiać! — zdecydowała w myśli panna Ożarska. — Taki mizerny!... I on herbatę musi pić bez cukru!

— To możeby pan przyniósł tę kartę jeszcze dzisiaj w porze kolacyi. Ja wprawdzie kolacyi tutaj nie jadam, ale...

— Gdzieżbym ja śmiał tak panią trudzić! Gdyby pani była łaskawa podać mi swój adres, to jabym do domu...

Julia dziwnie zmieszana i w głębi serca tro-

chę rozradowana powiedziała adres swego mieszkania.

— Od siódmej godziny jestem w domu...

— Stawię się punktualnie... Pani zapewne mieszka z rodziną?

— Nie... nie mam tutaj rodziny. Mieszkam zupełnie sama.

— To tak, jak i ja.

— Może to nie wypada, żeby on do mnie przychodził — przebiegło pannie Ożarskiej przez głowę — pierwszy raz go widzę... nie wiem nawet, co za jeden. Ale to zapewne jakiś porządny człowiek. Takie sympatyczne robi wrażenie.

— Niech pan tylko uważa, żeby pan nie spadł ze schodów idąc do mnie. Bo schody kręte i wąskie, a gospodarz oszczędza światła, więc najczęściej ciemno.

— Pani, widzę, ma mnie za bardzo niezgrabnego — uśmiechnął się z tej jej troskliwości. Przyjrzał się jej przytem pierwszy raz uważniej.

— Urzędniczka albo nauczycielka — zdecydował — zwiędle to, niezgrabne, nieładne, ale jakieś bardzo pocziwe stworzenie.

Usługująca dziewczyna podała im drugą porcję, składającą się z malutkiego kawałka mięsa, oblanego jakimś wątpliwej wartości sosem, kilka ziemniaków i łyżki kwaśnej kapusty.

Panna Ożarska od razu bohatercko zaatacowała kapustę, aby ją połknąć jak najprędzej, niby wstrętne a konieczne lekarstwo.

Zjadła kapustę i zabrała się do pieczenia z ziemniakami, kiedy opróżnione naprzeciw niej miejsce zajął nowy gość, piękny, elegancki... Kazimierz Rawicz.

Rawicz poznał pannę Ożarską, którą widział kilka razy u Borowickich i ukłonił się. Minę miał trochę zakłopotaną. Nietrudno było poznać po nim, że czuje się nieswoisko w tej mrocznej, prymitywnie urządzonej sali, pełnej wyziewów niewybrednego, źle zgotowanego jadła, że wstręt budzi w nim niezbyt czysta czerata, ordynarne nakrycie i cała ta przygniatająca atmosfera biedy. A jednak musiał tu przyjść. Stanowczo nie mógł sobie pozwolić na droższy, wykwiniejszy obiad. A do Burczykiewiczów nie można przecież chodzić codziennie.

Rawicz nie czekał tak długo, jak inni stołownicy. W jednej chwili usługująca, zgrabna dziewczyna z błyszczącymi oczyma, znalazła się przy nim i położyła przed nim kromkę chleba podwójnej grubości, nie pytając wcale o kartę.

— Nareszcie pan zajrzał znowu... — rzuciła cichutko rozpromieniona — już pana dawno nie było...

W zupie, którą podała Rawiczowi, było stanowczo więcej kaszy niż w talerzach innych stołowników, a przytem po powierzchni brunatnej cieczy pływało kilkanaście autentycznych skwarków ze słoniny.

Jakiś starszy, wynędzniały mężczyzna, z wyglądem głodomora, aż obliżał się.

— Ten to dostał porcję — mruknął — niema to jak takim...

Rawicz jednak jadł i owoli, z wldocznym wstrętem, jakby mu ta zupa z kaszą i skwarkami nie chciała przejść przez gardło. Nie dokoczył też swojej porcji.

— Nie smakowało? — szepnęła dziewczyna, stawiając przed nim drugie danie — żeby to ja napróżd wiedziała, że pan przyjdzie. Ale pieczeni to już najlepszy kawałek wybrałam.

Dwie koleżanki jej trąciły się lokciami.

— Widzisz, jak się Zośka kręci koło tego szykownego faceta. Skacze jak na sprężynie i najlepsze kaski dla niego wybiera. A on ci i tak gwiżdże na nią.

— Ale też to śliczny chłopiec, bo śliczny.. Taki to się i przyśnić może — odszepnęła sentymentalnie druga — aż mi dziwno, że taki elegancki pan do naszej kuchni przychodzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Popierajmy
polską pożyczkę państwową!